

# Maska

Anna Suwała

Leżał na brzuchu. Wyglądał jak przewrócone krzesło lub zwinięty dywan. Bezwładne barki. Nagie bezbronne plecy. W poprzek nich – biała wstęga płótna. Wystarczy unieść jego brzeg. Otwór wielkości pięści, pełen zakrzepłej krwi i postrzępionej skóry. Cały pokój tonie w mroku. Tylko te jego białe plecy. Dłoń obok ust. Obrócona pod śmiesznie stromym kątem. Zielone spodnie groteskowo połyskują śliską satyną. Miał na sobie jeszcze balowy kostium. Boże...

Wszyscy skupili się u jego nóg. Jakby nikt nie miał siły popatrzeć mu w twarz z bliska. Ściszone głosy szepcą jak wiatr. Cisza jest dowodem śmierci.

– Czy mamy coś zrobić, kapitanie Horn? – Młody Larchensen był biały jak papier. Nigdy nie widział śmierci. Zwłaszcza takiej. Takiej nie widział nikt od bardzo dawna.

– Czy coś zarządono? Przed moim przybyciem?

– Posłaliśmy po was zaraz... zaraz po tym. Po was i po medyka. Wy byliście szybciej, kapitanie Horn.

Biała koszula zwinięta obok jego boku. Linia skóry. Zaciśniętą pięść położył obok twarzy. Jak śpiące dziecko. Spomiędzy palców wystaje kawałek koronki.

Wchodzi doktor w asyście dwóch żołnierzy. Kłaniają się sobie oficjalnie. Brzękają sucho metalowe narzędzia.

Jego nagi nieosłonięty kark. Twarz ma odwróconą do okna.

– Czy to trwało długo? – Horn zamyka oczy.

– Wynieśliśmy go zaraz po strzale... – głos Larchensena drży coraz silniej.

– Czy ktoś opuszczał ten gmach?

– Co? Nie wiem...

– Nie, nikt z tamtych – w przeciwieństwie do niego Leibenholtz jest spokojny.

– Kazałem zamknąć bramę. Obstawiliśmy cały budynek. Nawet służba nie mogłaby się stąd ruszyć. A co dopiero oni. Kazałem im zostać w sali...

– Chodźmy. Już czas.

Prowadzą ich czarne krople. Rozpięte jak nietoperze. Malutkie strumyczki uciekającego życia. Więc tak to się kończy. Tak po prostu. Nawet jego krew purpurowa. Zwykła chamska krew umierającego człowieka.

Szli przez rzęście oświetlone korytarze. Stoły jadalni nietknięte. Piramidy tortów, butelki wina, na w pół wypalone kandelabry. Prowadzeni przez nietoperze mijali opustoszałe sale, puste kanapy, pootwierane okna. Powietrze jest szkliste od mrozu.

Tu ślad rozciera się jak wole ślimaka. Wyślizgnął im się z rąk. Wstrząsały nim spazmy, nie mogli go utrzymać. Idący po prawej wypuścili jego ramię. Chwilę trwało, zanim przestali wlec go po ziemi. Wszyscy płakali. Nie wiedzieli, co robić. Głos Leibenholtza łamie się; nie może opanować płaczu. Trzymał mu głowę od szczytu schodów. Razem walczyli w wojnie rosyjskiej... Nie tak mieli się żegnać.

Spirala schodów. Każdy z czerwonym znakiem. Kropla po kropli. Coraz bliżej. Olbrzymie wrota zaczynają się przesuwac. Przed drzwiami królewscy gwardziści prezentują broń. Dłonie Horna są śliskie od potu.

Wchodzą od góry, od strony galerii. Sala balowa jest pełna ludzi. Rozmowy cichną jak ucięte brzytwą. Horn musi zmrużyć oczy. Tak tu jasno. Powietrze gorące od światła, zagęszczone setką oddechów. Wszystkie twarze patrzą na nich z dołu. Twarze bez masek. Zasklepione etykietą. Porcelanowe i blade.

– Panie, panowie – założone do tyłu ręce są lepkie od potu – godzinę temu miłościwie nam panujący król Gustaw III rozstał się z życiem.

Sala nawet nie drgnęła. Tylko z boku jakby jakiś jęk, delikatny szloch.

– Wobec tragicznych wydarzeń, które towarzyszą tej śmierci, musimy przeprowadzić wnikliwe śledztwo. Dopóki nie zostaną ustalone wszystkie fakty, nikt z was nie może opuścić tego gmachu.

– To barbarzyństwo – głos marszałka tnie ciszę jak brzeszczot – trzymać nas tu, po tym wszystkim, czego byliśmy świadkami!

– Właśnie ze względu na państwa przytomność w tamtym tragicznym momencie musimy prosić was o dokładną relację.

– Jako przedstawiciel władzy – wszyscy rozstępują się z pokorą, gdy marszałek wchodzi wolno na schody. Dłonie Horna są przeraźliwie suche. – Jako przedstawiciel władzy stanowczo się temu sprzeciwiam.

– Marszałku – Horn zstępuje ku niemu w dół. Nikt nie mówi słowa. Macie więc teatr zamiast opery.

– O ile wiem, nie mamy jeszcze regenta, więc to ja sprawuję teraz władzę i stanowczo domagam się wypuszczenia przynajmniej kobiet.

– Ekscelencjo, z całym szacunkiem, muszę odmówić. Na mocy dekretu królewskiego dotyczącego przypadków nadzwyczajnych, władzę nad tym budynkiem przejmuje Królewska Policja, aż do zbadania i wyjaśnienia sprawy. +

Zrównują się na schodach. Stalowe wąskie oczy marszałka. Czy ty też go nienawidziłeś?

– Moja władza...

– Wasza władza, ekscelencjo, rozciąga się nad całym krajem, lecz ustaje u progu tej sali. Jego trup jest tu pieczęcią – wszystkie oczy są na nich zwrócone. Marszałek Kellgren jest świetnym strategiem. Nigdy nie posuwa się dalej, niż tego wymaga jego własne poczucie interesu.

– Widzę, że przemawia przez was dobro kraju. – Głos marszałka jest wyważony jak szale wagi. – Ustępuję więc przed wagą sprawy.

Chłód i milczenie. Teraz trzeba spróbować łagodniej. Strategia i podstęp.

– Ekscelencjo, to dla nas wszystkich cios...

– Moja żona jest bardzo słaba. Jej wuj był jego stryjecznym dziadkiem. To tak, jakby straciła syna.

– Rozumiem, ekscelencjo, i obiecać mogę pośpiech. Każdy z państwa po złożeniu zeznań opuści niezwłocznie ten gmach. Proszę cierpliwie czekać na wezwanie. Obiecuję nie sprawić państwu większego bólu niż ten, który już raz rozdarł wasze serca.

Ich twarze w dole. Blade i obojętne.

Drzwi zamykają się za nimi z lekkim trzaskiem. Dłonie Horna są mokre, przeraźliwie mokre od potu.

– Komisarzu Horn, proszę o pozwolenie wygaszenia kandelabrow. – Głos ochmistrza jest nierówny i urywany. W upudrowanej twarzy koleiny łez.

– Jeszcze nie teraz.

– Kiedy tak nie można! On nie żyje, a tu cały gmach w świetle...

– Nie teraz, proszę, jeszcze nie teraz. A teraz pokażcie mi, proszę, ten pokój, w którym szykował się do balu. Czy ktoś go odwiedzał przed rautem?

– Tylko ci co zwykle: marszałkowie, szlachta, ktoś z duchowieństwa... Przed zabawą miał zawsze dobry humor, wielu więc korzystało ze sposobności, by coś uzyskać. Zawsze ich tu było pełno... Przekłęci pieczeniarze... Dziś był w wyśmienitym nastroju, odwiedziła go jego przyjaciółka z dzieciństwa, pani kapitanowa Anckarstrom. Ogromnie się lubią. Przyniosła mu egzemplarz jego Traktatów filozoficznych w angielskim tłumaczeniu. Rozmawiali chwilę na osobności, a gdy zaczęli się schodzić inni interesanci, odprowadził ją z dziećmi...

– Z dziećmi?

– Zawsze przyprowadzała je ze sobą. No więc odprowadził ich do schodów. Na dole czekał kapitan Anckarstrom. Wymienili ukłony. Potem przyjmował petentów. Cały czas z nim byłem, kończyliśmy ostatnie przymiarki... O, dobry Jezu, taki był radosny, a teraz już go nie ma... Proszę mi wybaczyć...

Odchodził wolno oświetlonym korytarzem. Niewysoki człowieczek na wysokich obcasach. Jego zwieszona ramiona podrygiwały jak skrzydła. Leibenholtz powiedział:

– Był z nim od dziecka. – Horn odwrócił głowę od tej skurczonej oddalającej się postaci.

– Wzywaj ich po kolei, Leibenholtz. Kiedy skończę z nimi mówić, wyprowadzaj ich do osobnych pokoi. Przed każdymi drzwiami – wartownik. Zaczynij od drugiego piętra. Przed świtem musimy znać prawdę.

◆

Więc nadal tam leży. Przykryty fioletowym kirem. Już go przewrócili na plecy. Ci, którzy przy nim trwali, już zbierają się do wyjścia. Mija czas czuwania. Usiadł odruchowo. Skurcz bólu postawił go z powrotem na nogi.

– Proszę uważać, komisarzu – Antoine, jego lokaj, układa metodycznie porzucane przedmioty.

– Co to jest, na Boga?

– To jego maska.

Wygięte grymasem uśmiechu przesadnie szerokie usta. Fałdy pergaminowej obwisłej skóry, puste oczodoły, słomiano-złote strąki włosów.

– Myślałem, że był trubadurem.

– Tylko przez pierwszą część wieczoru. Później mieli wystawiać Medeę.

– Miał być Jazonem. – Jego głos jest zduszony i suchy, jakby z trudem przechodził przez zaciśnięte gardło.

– Czy skarżył się na coś tego wieczoru?

Pokojowiec zastanawia się chwilę.

– Kapitanie, może nie powinienem tego mówić, nie byłem przecież ani przez chwilę na sali, ale kiedy mnie mijał tego wieczoru, powiedział do mnie dwa razy: „Ktoś za mną chodzi, mój dobry Antoinie, chodzi krok w krok. Bardzo źle to znoszę”. Starałem się więc obserwować, czy to nie jego kolejna mała fobia, ale niczego nie zauważyłem. Wiem też, że rozmawiał z kimś podczas balu. Poprosił go do swojego salonu, zaraz po kadrylu. Rozmawiali tylko chwilę. Tamten, to był mężczyzna, wyszedł stamtąd energicznie i szybko. Jak Bóg na niebie, musiał to być wojskowy. Kłął bowiem niemiłosiernie. Jego wrzaski dudniły w Małym Korytarzu. „Mam pewność – wrzeszczał. – Teraz już wiem!” Poszedłem do króla zaraz po jego wyjściu. Stał w oknie i uśmiechał się jak mały chłopiec. „Teraz już się wszystko ułoży”.

– Skąd macie aż takie nowiny?!

– Kapitanie Horn, byłem jego pokojowcem przez dziesięć lat. Od zawsze obserwowałem ludzi. Ostatnio zaś zaczęto mi za to płacić. Po to król ma przecież pokojowców...

– Co było później?

– Pomogłem mu nałożyć maskę i przez galerię weszliśmy na salę. A potem... potem...

– Gdybym miał jeszcze jakieś pytania...

– Więcej nie powiedziałbym nawet jemu. Pozwolicie, kapitanie, że się oddałem. Muszę przygotować jego rzeczy...

+

Już powołano Komisję Śledczą. Postanowili zostać w Dużym Salonie. Jest ich siedmiu. Łączy ich młodość i przywiązanie do króla. Horn staje w progu. Jego założone do tyłu dłonie są mokre i śliskie w dotyku. Lagenholtz wstaje na jego widok. Wszyscy za nim podrywają się z miejsc.

– Kapitanie Horn, to zaszczyt dla nas pracować z wami. Chcieliśmy, żebyście o tym wiedzieli.

◆

– Co się wam, pani, stało ze strojem?

Jej twarz kurczy się w strachu.

– On... Tańczył wtedy ze mną. Zmieniały się figury i szedł do mojego kwadratu. Usłyszałam huk, a wtedy on przestał się uśmiechać. Ale szedł nadal w moją stronę. Chwytał mnie za ramiona, jakby je miał zmiażdżyć. Powiedział: „Widzisz, Mario, widzisz...”. Był coraz cięższy, nie mogłam go utrzymać, musiałam... więc uklękłam, on razem ze mną. Podbiegli zaraz jego ludzie i zaczęli nas rozdzielać, a on tylko szeptał to swoje „widzisz” i „widzisz”.

– Kto was rozdzielał?

– Boże, nie wiem...

– Proszę się skupić.

– Chyba Lagenholtz i Holstein. Tak, pamiętam ich niebieskie okropne kubraki. Zaraz przy nas byli. Chwycili go pod rękę, ale on... on nie chciał mnie puścić. Pociągłi go do tyłu i wtedy rozdarł mi koronkę. Boże...

– Skąd wiedziałaś, pani, że to król? Przecież miał maskę.

– Ochmistrz nam powiedział. Zawsze nam mówił, kim miał być danego wieczoru. Chciał, żeby się dobrze bawił. Żeby nikt go nie rozpoznał do samego końca. Przepadał za tym.

– Ale on nie wyglądał jak trubadur.

– Miał maskę Jazona. Ja... wiedziałam.

– Skąd?

– Od marszałka Kellgena...

◆

Przyprowadzali ich pojedynczo. Stawali w drzwiach, oficjalni i grzeczni.

Hrabio, książę, ekscelencjo.

Proszę spocząć.

Wymiana ukłonów. Dystans.

Kostiumy zmieniają się jak w kalejdoskopie.

– Wybaczcie, panie, niczego nie widziałem.

- Byłem wtedy w zupełnie innej części sali. Ciemność za oknem gęstnieje w oczach.
- Nic nie słyszeliśmy. Dopiero żołnierze powiedzieli nam, że trzeba zebrać się w sali balowej. Tam dowiedzieliśmy się prawdy.
- To przerażające.
- Okropna tragedia.
- Oboje z żoną sądzimy, że to była pomyłka. Jakieś porachunki między szlachtą. A on pomiędzy nich wszedł. Rzecz zupełnie przypadkowa.
- Na pewno pomyłono go z kimś innym. Przecież nikt by się nie ośmielił...
- Nie, kapitanie. Nic nie widziałem.



- Nic nie widziałem – po takiej deklaracji od razu stajesz się podejrzanym. Nie wchodzi się do sali i odpowiada niepytanym. Młody hrabia Estensen od bardzo niedawna zasiada w Riksdagu. Promieniuje od niego duma i pewność siebie.
- Chciałbym skorzystać z prawa, jakie przysługuje mi z racji urodzenia. – Powietrze w pokoju staje się jeszcze bardziej drażniące. – Zeznania mogę więc tylko składać przed sądem królewskim. Proszę więc o zwolnienie mnie ze składania zeznań.
- Ależ...
- Leibenholtz, spokojnie. O ile mi wiadomo z rozkazu królewskiego, każdy z nas pełni swoje obowiązki.
- Król nie żyje. Więc i jego dekrety przestają obowiązywać.
- Gdyby tak było, tysiącrotnie traciłobyśmy Finlandię. Prawo nie zasypia razem ze swoim twórcą.
- Ja jednak poczekam na nowego króla. Nie będę się tłumaczył przed byle kmiotkiem. Horn był zbyt zdziwiony, by poczuć się dotknięty. Patrzył teraz na taniec nieopierzonego koguta. Wymachiwał swymi szlacheckimi przywilejami, a miałby pewnie trudności, by zmusić konia do galopu.
- Nie muszę się przed nikim tłumaczyć. Chciałbym więc odejść. – Ten chłopak jest za młody, żeby być podłym. Jest po prostu głupi. Horn spokojnie przekłada papiery. Hrabia niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę.
- Ależ oczywiście. Możecie odejść, jeśli chcecie. Jeszcze tylko słowo: jaki kostium nosicie, panie?
- Młodzieniec dumnie wypina pierś.
- Jestem pawiem. To królewski ptak. Piękny i dumny. Jest jednym z symboli sprawiedliwości. Tak jak mój ród, godność ma wpisana w krew. Jest zbyt szlachetny na tutejszy klimat.

– Uważajcie więc, by podczas prezentacji piór sprawiedliwość nie kopnęła was w obnażony tyłek.

Wszyscy milczeli osłupiali. Lagenholtz patrzy na niego z przerażeniem. Holstein już otwiera usta do dyplomatycznych przeprosin. Purpura rozsadza policzki hrabiego.

– Jak śmiesz, ty głupi kmiecie!

– Hrabio, proszę się opanować! – Lagenholtz stara się załagodzić sytuację.

– Komisarzu, ja...

– Żądam satysfakcji!

Komisarz przechyla się do hrabiego przez stół. Ich twarze są tak blisko, że widzi wezbrane krwią białko jego oka.

– Jak to, będziesz się bił z prostym chłopem? Ejże, hrabio, aż tak nisko upadłeś, że nikogo oprócz zwykłego bonde nie jesteś w stanie wyzwać na ubitą ziemię?

– Spróbuj tylko na mnie podnieść rękę, a wyskrobie z ciebie życie drewnianymi grabiami! Szkoda szpady na twoje ściervo! Gdyby nie głupota Gustawa, nadal przerzucałbyś gnój w oborze!

– Hrabio, mówi pan o zmarłym... – Lagenholtz jest przerażony.

– Nareszcie zamknięto tę miodopłynną gębę! Ostrzegaliśmy go tyle razy!

– Nie bał się was, co? Aż tak to was drażniło? Aż tak? Żeby zabić?!

– Każdy jest karany za własną głupotę! On też. Wielbiciel wolności. Aż się nią zachłystnął. Już się nie będzie więcej lasił do waszych niskich pragnień. Wszyscy go nienawidzili. Ale on brał nasze ostrzeżenia za opowieści dzieci. Nie lekceważy się nas. Nie lekceważy się tych, którzy wygrywają!

Horn prostuje się nagle. Jego głos znów staje się zasadniczy i zimny.

– Dziękuję, hrabio, za cenną współpracę. W imieniu Królewskiej Policji i Riksdagu oskarżam was o królobójstwo i zdradę stanu.

Usta hrabiego łapia gwałtownie powietrze. Dopiero zrozumiał, dokąd zabrnął.

– Greiner, odprowadźcie hrabiego do małego salonu. Tam zaczeka na przewiezienie do więzienia, gdzie oczekiwać będzie wyroku sądowego. Wykonać!

– Przecież...

Jego „przecież” wraca do nich, gdy już prowadzą go w dół. Sala milczy. Ich zaskoczone spojrzenie wprowadzają Horna tylko w irytację.

– Czy mam posłać po więźniarkę? – głos Lagenholtza dobiega jakby spoza granicy rzeczywistości.

– Wręcz przeciwnie. Holstein, pójdziesz za chwilę do niego. Zna cię od dawna. Wasze siostry się przyjaźnią. Poczyszaj go, jak możesz. Obiecaj, że się za nim wstawisz. Obiecaj mu, co chcesz. Tylko niech ci opowie, co naprawdę wie!

– Sądziecie, kapitanie, że teraz coś powie? Po tym, gdzie go doprowadziła jego pycha...

– Teraz, zwłaszcza TERAZ, powie wszystko. Wytłumaczy ci wszystko, co

będzie wiedział. Przed sobą samym musi się wytłumaczyć. A my zapewnimy mu rozgrzeszenie. Jego zeznania obciążą tych, którym służy. Musimy wiedzieć. Idź! A wy przy prowadźcie następnego.

We wszystkich od nowa wstępuje życie. Papiery do teczek. Każdy na swoje miejsca. Ciemność wygina się za oknem.

– Myślicie, że to coś da? – Lagenholtz staje za jego ramieniem. Komisarz przesuwa dłonią stertę bezwartościowych wyznań.

– Musimy mieć nadzieję. Jesteśmy mu winni prawdę.



– Ekscelencjo.

– Komisarzu.

Wszyscy wstają. Ten starzec wymusza szacunek. Lata poświęcone sprawom państwa trzymają jego ciało w ryzach. Ludzie mówią, że to pycha trzyma go za jądra, więc od tej pieszczoty chodzi prosty jak struna. Horn wie, że tu akurat mijają się z prawdą. Nienawiść rozpina mu ciało jak strunę. Ród marszałka jest starszy niż kościoły Uppsali. Jego przodkowie zawsze stawali za królewskim tronem. W Radzie ich głos zawsze liczył się podwójnie. Tylko Gustaw nigdy nie przychyłał się do jego opinii.

– Kapitanie Horn, macie chyba świadomość, że to, co zostanie ustalone przez waszą komisję, zostać musi poddane ocenie Rady.

– Winnych dosięgnie sprawiedliwość.

– Tak, winny zostanie przykładowo ukarany. Nic nie można na to poradzić.

– Winny?

– Przecież strzał był tylko jeden.

– Może miał współników.

– Król nie żyje. Trzeba ukarać tego, który go skrzywdził. Dalsze poszukiwania są bezowocne. Nie wróci mu to zdrowia. Kogo to więc teraz obchodzi.

– Panie, mówicie o zmarłym!

– O, szczęśliwy zgonie! Kładzie on kres wielkiemu uciskowi.

– Jeszcze jedno słowo, a będę was musiał aresztować za obrazę majestatu!

– Król nie żyje. I nie mamy jeszcze regenta. Trzymając nas tutaj, zatrzymujesz kolejność dalszego postępowania. Nie mamy króla, nie mamy więc władzy.

– Bez względu na pańskie poglądy mogę spokojnie oskarżyć was o obrazę majestatu i szkalowanie dobrego imienia królewskich urzędników. Nie mamy już króla, ale nadal mamy Riksdag. I nadal posiadamy sądy. Poza jednak całym ziemskim gardłowaniem istnieje jeszcze Absolutny Sędzia. A przed nim nie ma odwołania do żadnej instancji.

– Gustaw nie był dobrym władcą. Nie był nawet dobrym człowiekiem. Wielu go nienawidziło, a on odpłacał im tą samą monetą. Niektórych ośmieszał za +



ich plecami. Czuli to, ale nie mogli znaleźć dowodów. Czasem trzeba im pomóc. Po prostu pokazać im zagrożenie. Trzeba walczyć. Nikt nie może z nas robić durni. I pan też, kapitanie Horn, królewski komisarzu, pan też nie może sobie pozwolić na śmieszność.

Kiedy wychodzi, nikt z siedzących już nie wstaje. W drzwiach mija się z wchodzącym strażnikiem:

– Kapitanie, kapelmistrz Winklermeier prosi o posłuchanie.

Winklermeier kłania się grzecznie każdemu z zebranych. Siada na podanym krześle, jakby zasiadał do klawesynu.

– Widziałem jak schodził od strony galerii. Taki miał być początek przedstawienia. Miał minąć tańczących i, wchodząc na scenę, zacząć śpiewać. Zaraz na linach miała spłynąć Fortuna, to znaczy młody Coretti, i mieli już śpiewać w duecie. Ale na początku miał śpiewać tylko on. Chciał wszystkich zaskoczyć. Szykowaliśmy to od miesiący. Bardzo chciał zaśpiewać partię Jazona. Bez przerwy o tym mówił. Więc kiedy stanął na galerii, czekałem tylko na sygnał. Ale on zaczął schodzić od razu. I tylko się rozglądał. Pomyslałem więc, że dociągniemy gawot do końca, a później zaczniemy od razu grać jego arię. Ale on nie zwracał na nas uwagi. Wszedł pomiędzy roztańczony dwór i zaczął poruszać się razem z nimi. Graliśmy więc dalej, a ja nie spuszczałem z niego oczu. Zmieniały się figury. Był coraz bliżej nas. I wtedy padł strzał. Widziałem jego twarz; jak nadal się uśmiecha, ale już inaczej, jakby z wyrzutem. Potem zastoniła go tamta kobieta. Ludzie się zbiegli...

– Czy przypuszczacie, kto mógł oddać strzał?

– Kapitanie, ja widziałem, kto strzelał. Ale nie wiem, czy byłbym w stanie go rozpoznać. Miał na sobie niebieski kubrak i maskę pawia.

– Jesteście pewni?

– Absolutnie pewni. Wiem, bo tamten przewyższał go wzrostem, więc widziałem dziób ptaka tuż ponad jego ramieniem. Później musiał ją zdjąć, bo nigdzie go nie dostrzegłem, choć mocno go wypatrywałem. Przepytałem już moich ludzi. Mówią dokładnie to samo.

– Czy jesteście gotowi świadczyć przeciwko mordercy?

– Oczywiście, że nie! Kapitanie, ja jestem tylko królewskim muzykantom. Gdyby nie nasz jarl, nadal chadzałbym za bydłem w naszej wsi. Oni dali mi nowe nazwisko, dworskie ubranie, nauczyli trzymać smyczek... jestem im winien przynajmniej milczenie.

– A co z prawdą? Gdzie jest na nią miejsce?

– Prawda? Moje słowo jest niczym wobec ich zaprzeczenia.

– A jeśli się przyzna?

– Powiem, że nic nie widziałem. Wybaczcie, panie, ale ja mam żonę, dzieci i całą tę grającą trupę na głowie. Muszę być posłuszny za nich wszystkich. Przynajmniej ja. Pan mnie rozumie, kapitanie?

– Nie wiem, panie Winklermeier, nie wiem.

- Niech panu Bóg dopomaga w tym, czego chce pan dokonać. Ale skoro oni odważyli się tu, wśród tylu ludzi, to wiedzieli, że będą bezkarni. Patrzyli za nim w milczeniu, gdy wychodził.
  - Leibenholtz, weź czterech ludzi. Każ im obejść wszystkie krzaki pod oknami sali balowej. Niech wezmą pochodnie i psy.
  - Myślicie, kapitanie, że tak pozbył się broni?
  - On jest bardzo głupi, Leibenholtz. Pożera go pycha. Skoro próbował wśród ludzi... On wie, co to pokaz. Broń ma ciągle ze sobą. To jego trofeum. Dlatego oni mają szukać, a ty masz patrzeć w okno. On przyjdzie popatrzeć. Pycha go do nas sprowadzi.
  - Greiner, kto miał taki strój?
  - Kapitanie, wszyscy królewscy ludzie byli tak przebrani. Niebieski to jego kolor, dworski. Używał go z okazji balów i innych ceremonii. Kazał przebrać się nam za ptaki. Wielu wybrało pawia.
  - Jednego już poznaliśmy. Czas ustalić, kto jeszcze lubi splendor i pióra. Holstein, czy nasz zapłakany paw coś powiedział?
  - Nawet za dużo. – Holstein układa przed Hornem stertę kartek.
  - Proszę, niech pan nam to odczyta.
- Głos Holsteina jest nierówny i drżący. Ciemność za oknem jest niczym wobec świadomości, która staje się ich częścią. Boją się. Już teraz wiedzą.
- Kapitanie – Lagenholtz stara się zachować spokój. – Co mamy teraz zrobić?
  - Poproście ją do nas.



- Kiedy wchodzi, w pokoju od razu robi się jaśniej. Emanują od niej spokój i tajemnicza elegancja. Siada spokojnie na podanym krześle. Podnosi głowę, by popatrzeć im w oczy. Dla takiego spojrzenia...
- Byłaś, pani, jedną z ostatnich, z którą rozmawiał tego wieczoru. Takie są zeznania jego pokojowca.
  - Jego Wysokość raczył mnie przyjąć.
  - Czy możecie nam podać treść tej rozmowy?
  - To były rodzinne sprawy mojego małżonka. Chciałam przedłożyć je królowi pod rozwagę.
  - Czego dotyczyły te sprawy?
  - Wybaczcie, panie, ale to sprawy osobiste.
  - Pani, król nie żyje, a tym samym wszystko, co mogłoby rzucić jakieś światło na tę sprawę, staje się własnością publiczną.
- Twarz jej zaczyna się zmieniać. Wolno jak wieczorny cień wypełza na nią obawa. Przygryza wargę. Dłonią odgarnia włosy. Żaden mężczyzna nie byłby w stanie oderwać od niej oczu.
- Kapitanie Horn, mogę złożyć zeznania, ale muszę otrzymać obietnicę waszej całkowitej dyskrecji.

– Masz, pani, moje słowo.

– Nic to już nie zmienia, ale powiem to, o czym wiem... Król i ja darzyliśmy się wzajemnie szczerą przyjaźnią. Znaliśmy się wystarczająco długo, by rozumieć się głęboko i bez słów. Dzieliliśmy te same pasje i łączyły nas te same poglądy. Mąż mój nigdy nie rozumiał tego, co nas łączyło. W miarę upływu czasu jego nieuzasadniona niechęć stawała się coraz bardziej zaciekle. Nie lubił go przede wszystkim jako człowieka. Drażniły go jego spokój i żelazna logika. Poza tym Gustaw był dzieckiem szczęścia, Johanna zaś nigdy nie opuszczał pech. Wreszcie mąż mój był i jest chorobliwie o mnie zazdrosny, sam natomiast dając mi nieustannie absolutnie realne dowody swej niewierności. W ostatnim czasie jego ataki furii nasiliły się jeszcze bardziej. Dodatkowo związał się ostatnio z pewną grupą ludzi zasiadających w Riksdagu. Mienia się oni „Reformatoremami”. W rzeczywistości jednak większość z nich to zwykli pieniacze i utracjusze, którzy nienawidzą zmian dla samej wygody dawnych przyzwyczajęń. Często też zbierali się u nas w domu. Widywałam ich, gdy opuszczali nasz salon z ogniem w oczach, język mając tak skołowaciałny od wykrzykiwania banałów, że nie byli w stanie podać fiakrowi adresu powrotnego. Rozmawiałam o tym wielokrotnie z Gustawem, ale on zawsze zbywał to żartem. Mąż mój zaś stawał się z dnia na dzień coraz gwałtowniejszy i nieobliczalny w słowach. Okrucieństwo swe przejawiał głównie wobec swej biednej matki i dzieci. Wobec mnie jeszcze się mitygował, ale i tak słyszałam zawsze wiele nieprzyjemnych słów. Ostatnio jednak zaczął posuwać się dalej. Jego okrucieństwo zaczęło przybierać naprawdę niebezpieczną postać. Zwłaszcza dziś rano... Ale oszczędzę panom opisu domowych zajść... Postanowiłam prosić Gustawa o przeniesienie męża na jakąś odległą placówkę. Chciałam uchronić moich najbliższych przed jego gwałtownością. Gustaw jednak postawił mi warunek, iż na przeniesienie musi zgodzić się sam Johann. Obiecał porozmawiać z nim podczas maskarady. Zaraz po niej miał mi opowiedzieć nowiny. Pożegnaliśmy się w przyjaźni. Odprowadził nas jak zawsze aż na sam dół. Czekał tam na nas mój mąż. Zdziwiłam się nieco jego widokiem. Wymieniliśmy pozdrowienia. Gustaw pocałował moją dłoń i pogłaskał dzieci po policzkach. Wtedy widziałam go ostatni raz.

– Jak mąż wytłumaczył swoją obecność w apartamentach królewskich?

– Nie pytałam go o to. Jest przecież kapitanem królewskiej gwardii, osobiście odpowiada za bezpieczeństwo króla podczas...

– Nie był wyznaczony do opieki nad królem na ten dzień.

– Może musiał dopilnować czegoś innego. Nie wiem. Nie rozmawiamy zbyt wiele z mężem.

Jej głos milknie. Powiedziała już wszystko. Do niczego więcej ich nie dopuści.

– Pani, wybaczone, ale muszę o to zapytać. Czy wy i król...

– Kapitanie Horn, jestem matką i żoną...

– Ale jesteście, pani, przede wszystkim kobietą. A... on szczególnie...

Kobieta wstaje i podchodzi do stołu. Opiera dłonie o jego blat. Podobnie jak wielu podczas tych przesłuchań, zapewniając o swej niewinności lub demonstrowując bezkarność. Oczy tej kobiety są lazururowe jak niebo. Światło świeci drga w nich tysiącem żyłek.

– Kapitanie, my... nie moglibyśmy... po prostu... nie...

Aksamitne światło znika wraz z jej odejściem. Ciemność za oknem szkli się od mrozu. Wszyscy kurczą się w sobie od nagłego chłodu.

Miarowy krok zwiastuje powrót Leibenholtza. Jest siny od chłodu. Wychojąc, nie włożył nawet płaszcza. W zgrabiących dłoniach gniecie niewielką kartkę.

– Na początku przyszli wszyscy – jego relacja jest urywana i mało płynna. Czy on już wie? Tak jak my? Czy już wie? – Tłoczyli się w oknach, jakby miały wybuchać fajerwerki. Ale czas płynął, psy ujadły, a oni rozchodzili się znudzeni. Na koniec pozostało ich tylko pięciu. Bolentrom został w sali. Potwierdził moją identyfikację. Proszę, tu są nazwiska...

Wszyscy pochylają się nad kartką. Nikt nie chce spojrzeć drugiemu w oczy.

– Jest ich pięciu. Z nich tylko trzech ma maski pawia.

– Bolentrom zrobił coś jeszcze. Zaczął rozpowiadać, że zaraz każecie zrewidować wszystkich mężczyzn. Nakazał też przeniesienie tych, co jeszcze zostali do sali jadalnej. Po przeszukaniu sali balowej znaleziono pistolet. Stwierdziliśmy, że strzelano z niego zupełnie niedawno. Nie ma żadnych herbów czy oznaczeń właściciela.

Jeszcze się ludzą. Jeszcze.

– Panowie wiedzą, co musimy teraz zrobić. – Starają się na siebie nie patrzeć.

– Proszę więc o podpisy panów na dokumencie zezwalającym na identyfikację osobistą.

Pióro pospiesznie rysuje papier. Nikt nie stara się spojrzeć w oczy Horna. Cały ciężar jest jego sprawą.

Wpuszczają ich do sali razem. Stoją przed nimi wyprostowani. W ich oczach nie ma strachu. Jest tylko rozbawienie. Każdy z nich mógłby to zrobić. Każdy z nich. Czy już nic się nie ostanie? Czy nienawiść niszczy i honor?

Horn staje naprzeciw nich. Blisko. Bardzo blisko. Ich wyciągnięte ręce. Łamana linia koronki na granicy nadgarstka.

Co mieszka pod twoją powieką? Jaka myśl była wtedy w tobie? Dłonie. Czy są bliźniacze w czynach? Czy lewa wie, co robi prawa? Czy się w tym wspiera? Czy może przeciwnie, powstrzymuje drugą? O czym się myśli wtedy, gdy się pozbawia życia? Gdy się strzela w plecy. Nie zostawiłeś mu nawet możliwości obrony. Dłonie te nie są zbyt duże, jak na tak wysokiego mężczyznę. Wstrząsa nimi dreszcz. Każdy palec drga osobno, jakby uderzał w niewidzialny klawisz. Na koronkowym mankiecie ciemne nierówne plamy. Drżą i tańczą wraz z melodią palców. Horn zamyka oczy. Czuje suchość własnych dłoni. Konkretną stateczną suchość. Sumienne wykonywanie obowiązków jest cnotą. Nawet gdy się nienawidzi. Od nienawiści nie ma zbawienia.

– Kapitanie Johannie Jacobie Anckarstrom, w imieniu Królewskiej Policji Karnej aresztuję was pod zarzutem morderstwa na osobie J.M. Gustawa III, króla Szwecji.



Raport Johanna Jacoba Horna, kapitana Królewskiej Policji Karnej

Ja, niżej podpisany kpt. J.J. Horn, raport ten sporządzam. W celu wykazania wszystkich okoliczności tragicznego zgonu J.M. Gustawa III.

Śmierć nastąpiła 16 marca A.D. 1792, podczas karnawałowej maskarady w gmachu Opery Królewskiej. Osobę króla długo obserwowano, zanim zdecydowano się na dokonanie zamachu. Oddano pojedynczy strzał od strony galerii królewskiej. Kula przeszła poniżej łopatek, przebijając płuca i rozrywając tętnice. Król został wyniesiony z miejsca zamachu na rękach żołnierzy swojej gwardii przybocznej. Skonał trzy kwadranse po godzinie trzeciej, nie otrzyawszy pomocy medyka, gdyż zgon nastąpił ledwie chwil kilka po strzale.

Szaleństwem jednakże byłoby sądzić, iż była to spontaniczna akcja szaleńca; człowieka chorego i niepoczytalnego. Na podstawie zeznań i dowodów, które choć skromne i niepełne, pozwalają jednak wysnuć nam wniosek, iż J.M. Gustaw III padł ofiarą spisku mającego na celu królobójstwo i zamach stanu. Dzień wcześniej, tzn. 15 marca A.D. 1792, doszło do spotkania najzacieklejszych przeciwników królewskich. Gościny w swym domu użyczył im Marszałek von Kellgren, sam również biorąc czynny udział w spotkaniu. Zebraniu temu przewodził Jacob von Engestrom. W spotkaniu wzięli udział: przedstawiciele arystokracji, których władza i przywileje w wyniku polityki królewskiej zostały znacznie uszczuplone; oficerowie, którzy darzyli nienawiścią króla od czasów wojny rosyjskiej, a także wielu z tych, co mienia się osobistymi wrogami króla. Dyskutowano projekt nowej konstytucji. Podnoszono też sprawę zmian wielu aktów prawnych zapewniających większe swobody szlachetnie urodzonym. Stopniowo atmosfera stawała się coraz bardziej wroga i nieprzychylna królowi. Wielu spośród zebranych gotowych było do aktów przemocy i gwałtu. Zwłaszcza kapitan Królewskiej Gwardii, Anckarstrom, odznaczał się szczególną nienawiścią i nieprzejednaniem. Winą za rozkład swego małżeństwa obarczał on króla, biorąc wieloletnią przyjaźń swej małżonki z królem za miłosne przywiązanie. Zaślepiiony nienawiścią posuwał się nawet do zapowiedzi królobójstwa. Widząc jego gorączkę i brak rozsądku, część najwyżej postawionej arystokracji uknuła spisek mający na celu zgładzenie króla i przejęcie władzy w wyniku zamachu stanu. Zręcznie manipulując rozwścieczonym Anckarstromem, zdołali go namówić do oddania morderczego strzału. Jako członek gwardii i oficer mógł zachować broń nawet w obecności władcy. Jako że jego niewczesny zapal osłabł, następnego

dnia podburzyli go znowu, pozwalając mu być świadkiem spotkania króla z jego małżonką tuż przed samym bale. Pani Anckarstrom udała się do króla z własnej woli, prosząc o załatwienie pewnej rodzinnej kwestii. Widok żony opuszczającej apartamenty królewskie na nowo obudził w kpt. Anckarstromie gniew. J.M. Gustaw III, nie znając jego zamiarów, poprosił go do siebie podczas maskarady, chcąc zasięgnąć i jego zdania w owej kwestii. Kpt. Anckarstrom upewnił się tym samym co do domniemanej winy króla i poznał wygląd jego nowego przebrania. Odtąd szukał tylko sposobności, by go zgładzić. Śledził go i nie odstępował na krok. Na strzał zdecydował się pod wpływem afektu, widząc, jak król z panią Anckarstrom mijają się w tańcu. Strzał okazał się śmiertelny. Zamachowiec liczył na opieszałość władz i Sprawiedliwości. Pomylił się jednak. Dzięki zeznaniom świadków został ujęty i na podstawie wyroku zgładzony.

Dziś, kiedy królobójca nie żyje, pozostali spiskowcy pozostają jednak nadal bezkarni, choć to ich wsparcie i pomoc umożliwiły szaleńcowi owo fatalne posunięcie. Żaden ze współspiskowców nie został pociągnięty do choćby samego złożenia zeznań w obliczu trybunału czy Riksdagu. Wdowa po kpt. Anckarstromie musi zaś ukrywać się w Paryżu przed pomówieniami o romans, który miał położyć kres życiu J.M. Gustawa III. Imię jej, okryte niesławą przez szaleństwo męża, opluwane jest kolejną potwarzą – zdrady i cudzołóstwa. Wszystko to czyni się po to, by ukryć właściwych królobójców – nieprzyjaciół kraju, których strach o własne majątki i przywileje popycha do zbrodni. Żądzom swym ulegają tym chętniej, iż wiedzą, że koneksje i przywileje ochronią ich przed konsekwencjami własnych pragnień. Król zginął, gdyż pragnął położyć kres temu, co wydaje się pętać nasz kraj – prywatnie, przekupstwu i swobodzie przywilejów. Wspierał zaś nieustannie tych, których zdolności mogły się przyczynić do świetności kraju, nie bacząc na ich urodzenie ani stan posiadania. Ten podły strzał tchórza i pieniacza kładzie kres nie tylko życiu wielkiego człowieka, ale i jest końcem wielkości państwa.

Dlatego też dokument ten zawiera oprócz raportu moją rezygnację. Powołując się na artykuł 12. Statusu Policji Królewskiej, proszę o rozpatrzenie jej w trybie pilnym. Nie potrafiłem ochronić człowieka, którego podziwiałem. Nie uda mi się więc ochronić tych, których ledwie toleruję. Proszę więc o jak najszybsze przyjęcie mojej rezygnacji.

Pozostając z zapewnieniem o swoim szacunku  
kpt. J.J. Horn

